Nr. 21. We Lwowie dnia 27. maja 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Antenaci stańczyków.

Bardzo na dobie wyszedł w tych dniach z pod pras drukarskich przedruk »Fragmentu Biblji Targowickiej« Niemcewicza i »Ksiąg Szczęsnowych« tegoż autora (nakładem Dr. Z. Kostkiewicza w Krakowie). Dziwnie współczesna woń bije z tej gryzącej satyry z r. 1793. Wyjątki z biblji targowickiej dają się prawie w zupełności zastosować do czasów obecnych, zwłaszcza w obec wzmagającego się w ostatnich latach natężenia stańczykowskiej propagandy.

Najprzód słów kilka o genealogji stańczyków:

»I rzekł Szczęsny: żebyście wiedzieli, kto ja jestem i ci, którzy przedsięwzięli to odrodzenie Polski, powiem wam, że ja ród mój wiodę od tych pysznych aniołów, którzy nawet Boga, Twórcy swego wyznawać nad sobą nie chcieli i zbuntowali się przeciw niemu. Większa część tych aniołów zaraz do piekieł wtrąconą była. Kilku z nich zostało, i rozeszli się po różnych krainach i od nich pochodzą wszyscy burzyciele i wichrzyciele ziemi tej. I w Polsce został z nich jeden, i od niego pochodzi Sieciech, wojewoda krakowski, który za Bolesława Krzywoustego zdradził swe ziomki i uciekł z placu bitwy; a król przysłał mu kądziel, i prządł lat 80, i było wszystkich dni Sieciechowych lat 80, i pogardzon był, i umarł.

Z Sieciecha w dalszych pokoleniach zjawił się Szamotulski, wojewoda poznański; ten, zdradziwszy ojczyznę swą, przeszedł do Krzyżaków, i był potem rozsiekan, i umarł.

A z biodrów Sieciecha wyszedł później Gliński, który podniósł bunt przeciw Zygmuntowi pierwszemu, i chciał się ogłosić wielkim księciem litewskim, i przeszedł do Moskwy, i żył lat 50, i wyłupiono mu oczy i umarł.

A potomkowie Glińskiego spłodzili Radziejowskiego, który Szwedów sprowadził na Polskę, i wiele złego zbroił, i żył lat 60, i było wszystkich dni Radziejowskich lat 60, i życie jego było pełne zgryzot, a wszyscy stronili od niego, i był pogardzon i umarł.

I weszła dusza Radziejowskiego w Chmielnickiego, Doroszenkę i Niczaja, i rozmnożyła się, a z nich dla bliskości miejsca w Ponińskiego, we mnie Szczęsnego, i Branickiego, i Rzewuskiego, i Kossakowskich. I pojąłem żonę, i poznałem ją, i żywot jej otworzył się razy kilkadziesiąt, i wydała liczne plemię, które wami rządzić będzie«.

A oto kilka wyjątków z opisu dni tworzenia:

»Na początku stworzył Szczęsny z niczego naród, i bez części zrobił całość, i sam jeden nazwał się związkiem. A wprzód ziemia polska była rządna, wolna i ludna, i światło nad ciemnościami panowało. A duch Szczęsnego unosił się nad przepaściami.

I rzekł Szczęsny: niech będzie chaos, i chaos się stał. I widział Szczęsny, że chaos i zamęt były dobre dla niego; i uczynił wieczny przedział między światłością i ciemnością i nazwał Szczęsny dzień nocą, a noc dniem. A słudzy jego padli na twarz, i adorowali go.

Potem rzekł Szczęsny: ja jestem panem i tworzycielem waszym, a wszyscy mieszkańcy ziemi polskiej są buntownikami. I nazwał Szczęsny wojsko polskie wojskiem nieprzyjacielskiem, a wojsko moskiewskie wojskiem wybawienia i wolności. I zaczęły się mordy, pustoszenia i pożary. A Szczęsny widział, że to wszystko było dobre dla niego i radował się.

Dzień pierwszy.

I rzekł Szczęsny: niech wszelki rząd i wszelka sprawiedliwość ustaną, niech szlachcic posłusz-

ny będzie panom, a miasta niech się znowu pogrążą w ubóstwie i ciemności. To, co wybrani od współziomków swych ludzie postanowili, niech będzie zbrodnią i spiskiem, a to, co ja rozkażę, niech będzie prawem. Rzekł też Szczęsny: niech drukarnie przestaną drukować, a ludzie niech przestaną mówić, czytać, pisać i myśleć. I nazwał to Szczęsny *wolnością.*

Dzień drugi.

I rzekł Szczęsny: ja sam jeden stanowić będę prawa i pobory, i mianować urzędniki. A ktokolwiek przyjdzie i czołem uderzy przedemną, będzie dobrym i poczciwym, a kto się mnie zaprze, będzie zdrajcą i prześladowanym... Rzekł też Szczęsny: ja będę pierwszy między pierwszymi; króla mego łajać i szkalować będę; a kto mi się nie podoba, niech dobra jego zabrane będą i osoba więziona. A kto mocniejszy a mnie wierny, zabierać może wszystko słabszemu i więzić go; i tak się stało. I nazwał to Szczęsny *równością.*

Dzień trzeci.

Rzekł potem Szczęsny: żadnego prawa, żadnej ustawy nie uczynię, ani obwieszczę, tylko te, które mi z Petersburga przysłane będą... Niech wojska polskie ustąpią wojsku moskiewskiemu, i niech wojska moskiewskie osiągną i zalegną całą krainę polską, oprócz Tulczyna, Mohilowa, Białocerkwi i Śmiły, i oprócz trzech województw wielkopolskich, które to województwa już są przyrzeczone królowi pruskiemu za to, że nam nie przeszkadzał. Rzekł też Szczęsny: niech w każdą niedzielę i święto wszyscy chodzą do posła moskiewskiego i niech go proszą o urzędy i promocje, i kłaniają mu się. I widział Szczęsny, że to było dobre dla niego, i cieszył się, i nazwał to *niepodległością.*

Dzień czwarty.

I rzekł Szczęsny: niech wszyscy posłowie polscy, mieszkający u zagranicznych mocarstw, porzucą dwory, u których są, i niech urzędnik policji moskiewskiej bez pożegnania wypędzi Debolego z Petersburgu. Niech jenerał moskiewski będzie hetmanem polskim i niech chodzi w mundurze moskiewskim: a mnie jednemu niech będzie posłusznym; a jego jednego niech słucha wojsko polskie; i tak się stało. I nazwał to Szczęsny *znaczeniem* i *powagą* kraju.

Dzień piąty.

Rzekł potem Szczęsny: niech domy polskie i zamek królewski zabiorą żołnierze moskiewscy; niech wszyscy zboża swe, i konie, i woły swe, i wszystkie napoje, i siano, i drzewa, i mąki i leguminy swe oddadzą Moskalom; a to, co mieli sami pożywać, lub sprzedać, lub spławić, niech oddadzą Moskalom; a za to, co mieli brać i złote i srebrne sykle, niech biorą papiery moskiewskie, i niech wierzą, że te papiery są pieniędzmi. Rzekł też: niech Moskale wybierają ludzi polskich, i niech niemi zaludniają pustynie swe; niech rozpędzają fabrykantów, osiadłych w Polsce; niech córki zabierają matkom i niech będą nałożnicami ich; i tak się stało. I Szczęsny się radował, i nazwał to wszystko *szczęściem* Polski.

Dzień szósty«.

MINUSY.

I.

Bardzo stary człowiek siedział przy oknie, spoglądając machinalnie na brudne od błota ulice. Czarne strugi płynęły rynsztokami, rozrabiając miękkie kupy niegdyś białego śniegu. Trzecia godzina wybiła na zegarze, a już zmrok począł ogarniać pokój, spływając z ciężkich, szarych chmur, które zaległy widnokrąg. Szaro było w około i szaro w duszy starego człowieka. Siwe, przygasłe oczy zaledwie widniały między zmrużonemi powiekami, całą twarz żółtą, gąbkowatą przecinały zmarszczki, biegnące we wszystkich kierunkach, koło ust, oczów i nosa.

Pomimo spóźnionej pory stary człowiek otulony był watowanym szlafrokiem. Wciśnięty w głąb fotelu, skulony, ze schyloną głową, uosabiał zgnębienie.

Nagle niespokojne błyski zamigotały w wyblakłych źrenicach starca: pochylił się ku oknu zaciekawiony. Pomimo dżdżystej pory mnóstwo ludzi z rozradowanemi twarzami zdawało się ogarniać jakieś wielkie wesele, jakieś ogólne szczęście.

Naprzeciw okien stała na chodniku grupa mężczyzn, a między nimi starzec poznał swego syna. Syn gestykulował żywo, dumnie podnosił rozjaśnione czoło, coś opowiadał, a towarzysze przytakiwali mu z fantazją wielką.

— Tym ludziom może być wesoło, ale co tak cieszy Adasia? — mruknął stary.

Niecierpliwie począł przebierać palcami po poręczy fotelu, wreszcie cofnął głowę i skulił się jeszcze więcej.

— Bieda, bieda i nieszczęście dla mnie i dla niego! — szepnął znowu.

Pomimo podwójnych okien, echo gwaru ulicznego dobiegało do gabinetu. Zmrok zapadał coraz gęstszy, zapalono latarnie, lecz gwar nie ustawał. Przeciwnie, przez długą chwilę aż huczała ulica. Jakiś ulicznik, trzymając się pod boki

i przytupując bosemi nogami zaczął gwizdać: »Jeszcze Polska nie zginęła...« i wnet cały chór grzmiąco podjął: »póki my żyjemy...«. Każdy śpiewał, jak mógł, z błyszczącemi oczami, stukały laski, brzmiały głosy niezgodnie lecz zapalczywie, stary stanął w oknie i potrząsał głową, a z mętnych źrenic spływały gorące łzy.

— Boże wielki! czegożeśmy doczekali!

Zdawało mu się, że ktoś spojrzał w jego okna, cofnął się lękliwie, przylepił do framugi, lecz oczu od ulicy oderwać nie mógł. Nie mógł zrozumieć wcale radości swego syna. Wszak go znał, wszak miał go ciągle przy swym boku, wszak sam przygotował mu świetną karjerę: po śmierci ojca, syn, sam już znaczny urzędnik, miał dostać jego urząd — nie byle jaki, przy samym generał-gubernatorze »przywiślańskiego kraju«.

Ród Pucharzewskich odznaczał się przecież lojalnością, dzięki której i on i syn jego i córka, baronowa Mindenstern, żyli na pańskiej stopie i order jakiś też spadł od czasu do czasu na ich wiernopoddańcze piersi i wiele wschodnich zaszczytów ich spotykało. Pono tam szary tłum trochę na nich sarkał, lecz czyż ich to dosięgnąć mogło? Ani o to dbali! Przeciwnie, brak popularności w pewnych sferach nie cień, lecz piękne światło rzucał na nich w oczach rządu. A po Bogu należy słuchać rządu, przez co człowiek żyć może w spokoju i w dostatkach.

Teraz, cóż będzie teraz? Stary Pucharzewski żył w spokojności lat siedmdziesiąt i dożył rzeczy niesłychanych: zmiany rządu! W wielkiem państwie po ukazie zapanował liberalizm: Polak przestał być istotą wyzutą z praw narodowych! I w jednej chwili stała się przemiana w udręczonym narodzie!

Jak człowiek z letargu do życia przywrócony, jak więzień, z kajdan rozkuty, odetchnął naród. Masy ogarnął szał swobody, stary człowiek patrzał przed chwilą na jego drobne objawy.

W tem stuknęły drzwi i do ciemnego pokoju wszedł syn, uśmiechnięty, rozradowany.

— Czemu tu niema światła? — zawołał — cały dom kazałem iluminować. Ojcze! zwyciężyliśmy!

Stary roztworzył oczy szeroko. Patrzeli na siebie przez chwilę, jakby nie rozumiejąc się wzajem.

Syn wreszcie opuścił oczy i zapytał niepewnym głosem:

— Co tobie, ojcze?

— Czy ty, — zaczął ojciec szeptem, — czy ty nie boisz się...

Urwał, wskazując ręką na ulicę.

Nerwowy śmiech rozległ się po pokoju.

— Ha! ha! ojcze, posłuchaj mnie! Na podwórzu stoją czery beczki piwa i beczka wódki.

— To zapewni całość naszym oknom — odparł przyciszonym głosem starzec.

— Co się też ojcu przywidziało! I za cóż szybv mieliby nam wybijać? A to paradne! Czyż nie służyliśmy ojczyźnie według sił naszych? Właśnie ludzie lojalni zbawili ją! Przekonaliśmy rząd, że ufać nam można.

— Że ufać nam można! — powtórzył starzec.

Do pokoju służący wniósł lampę. Ojciec i syn zmrużyli oczy pod wpływem żywego światła.

— Jaśnie panie, przynieśli czamarę jasnego pana — oznajmił służący.

— Aha! dobrze! Daj dobry napiwek posłańcowi! Czekaj, sam się z nim rozmówię. Ojcze, wziąłem lożę na Halkę, pójdzież z nami?

— To ty w czamarze pójdziesz do teatru?

— Naturalnie! — rzekł wychodząc.

Starzec zamienił się w nieruchomy posąg. Nie pojmował tak szybkiego przystosowania się do zmiany warunków. Jego syn, ten wierny stróż bezprawia, patrjotą w czamarze!

Ptak nie umie pełzać, ryba fruwać, a gad na dwóch łapach chodzić, człowiek jeden umie przedzierżgać się w rybę, gada lub ptaka, stosownie do okoliczności; ta wyższość króla stworzenia wydała się jednak teraz potworna oczom starca. On sam buntować się nie umiał, uznawał konieczność: dogadzało to jego tchórzliwej, sybaryckiej naturze, zrósł się z dawnym trybem rzeczy do tego stopnia, że teraz odczuwał ogólne szczęście tylko poprzez własny upadek. Na dwóch szalach leżało, z jednej strony o n i, z drugiej j a. Strach o osobiste bezpieczeństwo przeważał. Czuł, że na nie nie zasłużył. Lecz w czemże mniej winnym od niego był ten syn, który teraz przychodzi mu się przedstawić w nowiutkiej czamarze?

W tej chwili dopiero zrozumiał cały zanik sumienia swego potomka; zdjęła go jakaś zgroza na widok jego bezczelnie rozradowanej miny. Drżący z zimna, bezsilny padł na fotel.

Syn przyskoczył.

— Ojcze! co ci jest?

Zadzwonił gwałtownie.

— Po doktora! Ruszaj co sił. Pan starszy chory!

Pan starszy z zamkniętemi oczyma z przechyloną w tył głową, przypominał nieboszczyka.

— Co tu robić? — szeptał syn. — Ojcze! przemów choć słowo! Ojcze! zlituj się! Powiedzą, że chorujesz z żalu po jego Ekscelencji!

Ojciec nie poruszył się wcale.

Adam pobiegł po wino i wlał kilka kropel w nieme usta.

Chory otworzył oczy, lecz milczał. Syn okładał mu skronie wódką kolońską, rozcierał ręce.

Gdy wreszcie nadszedł doktór, starzec odzyskał już przytomność.

— Ach, doktorze, — zawołał Adam, witając wchodzącego eskulapa, — mój ojciec nie mógł

spokojnie przenieść radośnych wzruszeń dni ostatnich, zobaczył mnie w polskim stroju i zemdlał.

Doktór uśmiechnął się nieznacznie.

— Tak, tak, — odparł — cieszymy się wszyscy, ale najwięcej cieszą się ci, którzy na tę radość najmniej pracowali.

— Naturalnie, naturalnie, zwykła to kolej rzeczy! — zaśmiał się młodszy Pucharzewski.

Starzec tymczasem powiódł po nich szklanym wzrokiem, znów oczy zamknął i więcej ich nie otworzył.

»Umarł z radości — kto byłby się tego spodziewał?« — głoszono na pogrzebie.

Anna Marzyńska.

Obrazy Podkowińskiego.

Był czas, kiedy całe pokolenia chorowały na mylnie pojęty bajronizm, kiedy roiło się od poetów z szyderczo wykrzywioną twarzą, którzy przejęci zawsze tragicznością własnych urojonych czy prawdziwych bolów, marzyli o poetycznej śmierci suchotnika przy trupim blasku księżyca. Ale i dziś zdarzają się epigonowie owych czasów. Takim poetą-bajronistą z talentem — i to niemałym talentem malarza, był zmarły przed niewieloma miesiącami Podkowiński. »Chora dusza — chory talent« powiedziałby o nim jakiś nowoczesny patolog i miałby słuszność, bo cały ów jego bajronizm, cała pozorna czy istotna tragiczność niedługiego jego życia, miała za podkład newrozę, tę straszliwą zmorę naszych czasów, która nad najwspanialszymi nieraz mózgami zaciąża i wypacza je, lub całkiem gasi.

Natura tego człowieka składała się z samych rozterek. Młody, energiczny, zdawałoby się powinien był kochać życie i świat, tak ponętny dla oka malarza, a koledzy spotykali go, jak w otwartem oknie swojej pracowni stał, odsłaniając piersi na chłodne wiatry i niby szedł naprzeciw owej wymarzonej poetycznej śmierci suchotnika, która go też nie minęła. Mówił o sztuce z zapałem i można było przypuścić, że kochał swoje dzieła, a największy ze swych obrazów »Szał« pociął tak, że go później ledwo udało się naprawić. Z dumą artysty patrzył na ogół profanów, na pozór niedbając o jego gusta ani zdanie, a obrazu swego nie zniszczył w domu, zdala od oka ciekawych, jak twórca, co zgładza ze świata dzieło, z którego jest niezadowolonym, ale na publicznej wystawie, jakby lubując się myślą o zdumieniu, które wśród owego pogardzonego ogółu musiało wywołać takie — bajroniczne »rozdzieranie własnego serca«.

Kłócił się dalej wiecznie w nim poeta z malarzem. Pierwszy z nich podsuwał drugiemu niemożliwe do wykonania pędzlem i farbami tematy, które zaledwo słowo, i to najlotniejsze, bratające się niemal z muzyką, zdołałoby jako tako oddać. Wreszcie w jego charakterze malarskim nawet, najściślej pojętym, nie obeszło się bez rozterki: strona rysunkowa u niego stała o wiele wyżej, niż kolorystyczna, mimoto chciał on być pionierem impresjonizmu, sadził się niemal wyłącznie na efekta kolorystyczne i to najjaskrawsze, z którymi nawet mistrz światłocienia niełatwo dałby sobie radę. Przykładem, wystawione obecnie w lwowskiem Towarzystwie Sztuk pięknych, jego krajobrazy. Nagromadzone na nich najrozmaitsze kolory o niesłychanem natężeniu, robią wrażenie pstrokacizny. A przecież znać w tych malowidłach żmudną niekiedy pracę, tak starannie nakładał autor obok siebie farby uzupełniające, jakgdyby chcąc usilnie pogodzić swój impresjonizm z prawami natury, malował z fizyką w ręku, otwartą na rozdziale optyki, traktującym o rozkładaniu się barw. Ale jak ktoś, co z akustyki matematycznie wyliczył sobie prawo następstwa tonów, niekoniecznie jeszcze ma pisać dobre opery, tak też krajobrazy Podkowińskiego nie wywołują wrażenia prawdy, jego efekta świetlne nie świecą.

Że i tu mógł artysta w końcu pokonać trudności, gdyby był systematyczniejszym w doskonaleniu się i mniej ubiegał się za ekscentrycznością, dowodem jest obraz, należący już do fantastycznych, którego tytułu jednakże nie znam. Przedstawia on noc w dzikim, skalistym wąwozie górskim. Wysoko, na szczycie jednej ściany wąwozu stoi kościotrup, spogląda w dół i widzi w półcieniu na skalnym występie przykutą do ściany postać niewieścią, której strzegą z świecącemi oczyma wilki czy szakale. Reszta wąwozu, stanowiąca tło obrazu, wygina się tak, że skąpana cała w blaskach księżyca, połyskuje niemal pasmem seledynowego w tem oświetleniu lasu. Ze wszystkich nadeszłych do Lwowa prac Podkowińskiego to najprostsza i najlepsza.

Jakby *pendant* do poprzedniego stanowi drugi obraz, również na tle nocnem. Zdaleka wygląda on, jak gdyby przedstawiał wśród ciemnego lasu lśniące od księżyca jezioro, nad którego brzegiem ktoś klęczy. Zbliska widać, że tem jeziorem jest blada postać niewieścia, złożona na katafalku; światła księżycowe, mieniące się w wodzie, to jakieś niby anioły, otaczające katafalk, a odbicie się roślin i gałęzi w wodzie, to skrzydła owych aniołów. Na brzegu, dziko skurczony i wykrzywiony, klęczy z wyciągniętemi rękoma upiorowaty jakiś mężczyzna. Z obrazem tym można się jeszcze zupełnie pogodzić, mimo niejasności tematu.

Z kolei jednak stajemy wobec sfinksowej niemal zagadki, przyglądając się malowidłu, co przedstawia zielonkawą twarz młodej dziewczyny,

która w rękach trzyma karminowego koloru serce, rzucające w około różnobarwne promienie. Ku temu sercu wychylają się z ciemności, od dołu obrazu, dwie ręce z haczykowato zagiętymi palcami. Czy to odmalowane majaczenie chorego na tyfus, czy uplastycznienie której z dziwacznych wizji Maeterlincka? Widz odchodzi, nie zrozumiawszy nic, bez estetycznego zadowolenia nawet z czysto malarskich efektów, bo wszystkie jaskrawości tego obrazu nic a nic doń nie przemawiają,

O wiele jaśniej się tłumaczy największy z obrazów Podkowińskiego, ów głośny »Szał«. Na ogromnem płótnie widzimy urwisko skalne, z którego rzuca się potworny jakiś spieniony rumak. Do jego grzbietu przytula się naga kobieta, co uniesiona przez szał zmysłowy, pod postacią owego konia, z lubieżnym półuśmiechem na ustach z przymkniętemi oczami za chwilkę runie w przepaść. To jasne, pozostaje więc techniczna strona obrazu. Dyskutować o niej przy utworach fantastycznych doprawdy nie łatwo. Ktoś chciałby np. zapytać artysty: »Gdzieżeś ty widział konia z takiem cielskiem okropnem? gdzieżeś widział kobietę o tak strasznie żółtych włosach?«. Lecz cóż, gdyby na to odpowiedział malarz: »W świecie mojej fantazji żyją takie konie i takie kobiety«. Na to repliki niema, pozostaje jednak inna kwestja: mianowicie, czy artysta, wiążąc najdziwaczniejsze motywε, zachował ściśle prawa logiki, czy widz, przyglądając się różnym szczegółom, znajdzie odpowiedź na wszystkie swe czysto fizyczne: »dlaczego?« i czy, co idzie za tem, obraz robi wrażenie? Otóż tu jest słaba strona »Szału«. Darujemy artyście dziwacznego konia, darujemy olbrzymią, zmierzwioną grzywę jego, która unosi się w powietrzu, i miesza z ciemnością, stanowiącą tło obrazu, darujemy zresztą ulatujące wysoko, złoto-płomieniste włosy kobiety, ale niechby kto nam wytłumaczył oświetlenie »Szału«! Przecież jeśli na ciemnem tle jakiś przedmiot występuje jasno, to albo musi być przez coś oświecony, a w takim razie musimy mieć zaznaczone źródło tego światła, albo sam świeci, co także powinno być uwidocznionem. Tymczasem w »Szale«, który jest cały pogrążony jakby w jakiejś nocy, naga kobieta występuje bez umotywowania wyraźnie jakby w najjaśniejszem oświetleniu dziennem. To jest jeden z najważniejszych powodów, dla czego nastrój obrazu się rozbija, a postać kobieca w tem otoczeniu nietylko nie zyskuje, lecz traci, bo poboczne szczegóły odciągają od niej uwagę widza, a sama dla siebie, zwłaszcza z powodu wybornie oddanego wyrazu twarzy, mogłaby stanowić ciekawe studjum.

Na zasługę jednak Podkowińskiego każdy przyznać musi, że nie był nigdy banalnym, że goniąc nawet za ekscentrycznością, nie był nigdy banalnie ekscentrycznym. W pogoni za swoim własnym, odrębnym ideałem piękna, rozrzucał on na prawo i na lewo, marnotrawił odłamy wybitnego talentu, które, niestety, nie doszły nigdy do zharmonizowania się. Obrazy Podkowińskiego mogłyby nastręczyć wiele ciekawego materjału do dyskusji o impresjonizmie, modnej dziś wizjonerskiej symbolice malarskiej i t. d. lecz wszystkie te uwagi milkną na razie wobec jednej, smutnej i gorzkiej, że to jeden więcej talent, który niewątpliwie upadł wśród rozpaczliwych warunków naszego społeczeństwa, że to jedna więcej ofiara nieubłaganej newrozy.

Jan Zgoda.

V. NOVAK.

MIŁOŚĆ BAZYLEGO.

Z chorwackiego przełożył

Leon Wasilewski.

I.

Słaby płomyk lampki olejowej odbija się na zadymionej ścianie i na obrazie w czarnych ramach, na którym trudno rozpoznać imię i twarz świętego, chociażbyś go zbliżył do jasnego światła. W pokoju stoi piec ogromny; około niego bawi się czemś małe siedmioletnie dziecko; dalej w kącie, w gęstej ciemności ledwo można dojrzeć staruszkę sługę, o żółtej, pomarszczonej twarzy. Około skrzyni, na wysokiem łóżku leży kobieta. Cienka, biała skóra czyni chorą przynajmniej o lat dziesięć młodszą: rzekłbyś, sądząc z tej twarzy, że ma zaledwie lat dwadzieścia, ale Lucę ochrzczono już przed laty trzydziestu. Czoło jej jakoś wypukliło się, nos wydłużył, twarz stała się jak u dziecka, że nie domyśliłbyś się, iż jest to matka owego chłopięcia. Luca jest wdową już od lat sześciu.

Czyjeś wejście przerwało ciszę, panującą w pokoju. Staruszka poszła ku drzwiom i wprowadziła do izby plebana, który przyniósł chorej Lucy ostatnią pociechę.

Póki staruszka płacząc wychodziła z pokoju, dzieciak przyglądał się ciekawie plebanowi, pakując palce w usta. Staruszka zabrała go z sobą, a pleban pozostał sam na sam z chorą, aby przygotować jej duszę na drogę do wieczności.

. . . .

— Cóż powiecie? — zapytała odchodzącego plebana staruszka, wlepiwszy weń smutne wejrzenie.

— Bóg jest potężny, — odrzekł pleban — ale możecie oczekiwać i najgorszego...

— W ciągu dni ostatnich nie skarżyła się na żaden ból; tylko dławi ją niby coś w gardle.

— Możecie jeszcze nie tracić nadzieji, ale też i bać się wszystkiego. Dobrzeby było, gdyby zawczasu zajęto się dzieckiem, ponieważ brat jej gdzieś w świecie.

Jak tylko pleban opuścił chatę, natychmiast przyleciała do staruszki sąsiadka, Ika, dbająca o wszystko kobieta, która rozumie lepiej od innych, czego nie można, a co należy uczynić, a że jej rady w niczem nigdy nie skutkowały, winni oczywiście byli inni. Teraz nie podobało się jej, że przywołano do chorej plebana.

— Nie rozumiem was, ludzie — mówiła staruszce — przywołujecie księdza, a po co? Bolą ją piersi, ale może jutro wstać jak najzdrowsza. Jest to choroba śledziony. Pękło jej coś wewnątrz, podniosło się ku piersiom, teraz uciska krew, a gdy opadnie, to Luca będzie zdrowa, jak ryba. I po co tu księdza? Tylko nastraszycie chorą, a wtedy już możecie oczekiwać skutków jak najgorszych.

Powiedziawszy to, Ika przeżegnała się, przekonana, że spełniła swój obowiązek.

— Luco! — rzecze stara, zbliżywszy się ku łóżku.

— Co, matko?

— Czy czujesz się lepiej?

— W piersiach dławi, a w gardle kole coraz bardziej.

— Przygotuj coś dla dziecka, póki jeszcze możesz; co się z niem stanie?

— Nie wiem... Boże, moje biedne dziecko!...

— Uspokój się, Luco, są dobrzy ludzie, a przecież masz brata młodszego... on będzie dbał o nie.

— Nie taki on jest... — mówiła, męcząc się widocznie rozmową, Luca. — Był dobrym, dopóki nie wstąpił do wojska, ale tam spanoszył się; nie do chłopskiej już on chaty i nie do prostej strawy! niech mu Bóg przebaczy! gdyby nie on, mogłabym spokojnie zamknąć powieki. Od czasu jak mąż mój umarł, wciąż choruję. Nikt za mnie nie pracował, a żyć przecież trzeba było. Sprzedawałam i zastawiałam najpierw dla siebie, a potem i dla brata, który, powróciwszy z wojska, bił mię, zmuszając, abym mu dawała pieniędzy. Tak sprzedawałam i zastawiałam, dopóki nie zostałam z próżnemi rękoma!...

Chora słabo kaszlnęła i zamknęła oczy... Później spróbowała jeszcze coś mówić, ale siły już ją opuszczały. Około świtu była martwa, a sąsiadka Ika mówiła starej:

— A co, czy nie mówiłam? Nastraszyliście ją księdzem, i doczekaliście się skutków jak najgorszych.

II.

Gdy już Lucę pogrzebano, zbliżył się do plebana Bazyli Serticz, bogaty gospodarz.

— Ojcze, możebyście wstąpili, jeśli wola, na godzinkę pod moją strzechę? Mam do powiedzenia to i owo.

Pleban nie wymawiał się. Winnica i piwnica Bazylego były wyborne, a obie całkiem w porę po długiej drodze na daleki cmentarz publiczny, zwłaszcza w południe, późną jesienią, przy świeżem, mroźnem powietrzu. Nadto Bazyli był znany, jako poczciwy człowiek, tylko opowiadano, że był w domu nadzwyczaj surowy względem żony swej, Mary, nawet czasami podnosił na nią rękę. Szczęściem, że Mara była kobietą łagodnego charakteru, więc wypadki takie zdarzały się w ich domu nader rzadko.

Oto co opowiedział Bazyli plebanowi:

— Będzie temu z dziesiątek lat, jak pokochałem nieboszczkę Lucę; gotów byłem, zdaje się, oszaleć. A była to dziewczyna miła, uprzejma, z duszą, jak wosk, miękką. Ale byłem młody, głupi i bojaźliwy i nie odważyłem się, jak inni moi rówieśnicy, wyjawić dziewczynie, jak ją kocham. Miałem wówczas lat ośmnaście. Tak więc taiłem się ze swemi nadziejami i miłością: czy Bóg tak chciał, czy to już tak nam przeznaczone było — nie wiem...

Pewnego poranku wstałem raniutko i poszedłem do robotników. Droga wiodła koło starej studni, i gdym zbliżył się o pięćdziesiąt kroków, poznałem około niej Lucę. Siedziała sama, schyliwszy głowę i zamyśliła się. Nogi poczęły mi uginać się, a ręce zadrżały. Przyszła mi do głowy myśl przyskoczyć, pochwycić ją i unieść, Bóg wie gdzie, ale coś ścisnęło mię w piersiach, niby związało ręce i poplątało nogi, i tak zbliżyłem się ku niej.

— Dzień dobry, Luco!

Odwróciła głowę:

— A, to ty, Bazyli?

— Ja... Dziś błysnęła mi szczęśliwa zorza...

— Cóż to?

Gdy zapytała mię, nie mogłem przemówić więcej ani słówka.

— Dokąd idziesz? — znowu zapytała.

— Do lasu...

— Na wilki, czy na hajduków*?

— Wszędybym poszedł, ale tylko razem z tobą, Luco!

Zaśmiała się.

— Ty się śmiejesz?

— Cóż mam począć, jeśli prawisz takie niedorzeczności!

— Ja dałbym się zabić, że ci mówię, co mi powiada serce, a ty śmiejesz się...

— A cóż ci serce powiada?

— Co powiada? Luco, ono powiada, że uczułbym się królem, gdybyś ty była moją; po-

* Hajducy = rozbójnicy.

wiada, że nie miałbym ani jednego dzionka wesołego, gdybyś poszła za kogo innego...

— A ja jednak pójdę...

— Za kogo? któż ze wsi jest lepszy odemnie?

— Nikt.

Nie wiedziałem, co mam mówić dalej. Milczeliśmy przez czas jakiś oboje; w końcu zbliżyła się ku mnie i położywszy rękę na moje ramię, rzekła:

— Bazyli! Oddawna już zauważyłam, że się kręcisz ciągle około naszej chaty i żeś w kole* zawsze przy mym boku. Nie sprzeciwiałabym się i byłabym twoją, gdybyś tylko przed rokiem przyszedł, jak wypada, i powiedział, co trzeba. Nie chciałeś uczynić tego, tylko rumieniłeś się przedemną, jak dzieciak. Wierz mi, że chciałam już pewnego razu zapomnieć, żem dziewczyna, i powiedzieć ci: »Bazyli, przynieś jabłko**!« Nie chciałeś czynić jak ludzie, a matka moja wyglądała ciebie, ale w końcu rzekła: »Córko, on jest bogaty, wydaje się dobrym, ale miej się na baczności!« Więc poczęłam stronić od ciebie. Nie wiem, co ty czułeś, ale ja często wzdychałam do ciebie; nie mam z czem się taić...

— Luco!

Chciałem ją objąć.

— Uspokój się! — rzekła, uchylając się. — Za późno już teraz, obiecałam me serce innemu.

— Komu, Luco?

Z początku nie chciała powiedzieć; lękała się, abym się nie mścił. Kiedym jej przysiągł, że zachowam się spokojnie, rzekła mi, że je obiecała Markowi Nikszycowi, jej mężowi nieboszczykowi. Był to człowiek chorobliwy, kaszlał krwią często i włóczył się po wsi, jak mara senna.

— Jemu? Cóż poczniesz z chorym mężem?

— Kocham go, dobry jest...

C. d. n.

* Koło = taniec narodowy chorwacki.

** Zwyczaj ludowy chorwacki przy swataniu.

Z DZIEJÓW OŚWIATY LUDOWEJ w Anglji.

(Ciąg dalszy).

Prawie powszechnie jeszcze przyjęte u nas mniemanie, że masom ludu na razie dać można co najwyżej lekturę powieściową moralizującą, albo początki zaledwie elementarnej wiedzy o praktycznym przeważnie pokroju, (nie mówię o nauce szkolnej, ale o tem, co się ludowi daje pod postacią literatury książkowej), zostało w Anglji zarzucone. Kwestja, czy oświata jest ludowi potrzebną, nie istnieje już wcale dla społeczeństwa angielskiego, któremu chodzić tylko może o sposób jaknajlepszego i najrychlejszego oświecenia mas. Tą drogą przyszli Anglicy do przekonania, że należy stworzyć dla mas narodu taki system oświaty, któryby je wprowadził w bezpośrednią już teraz styczność z stanem wiedzy, osiągniętym w studjum uniwersyteckiem, dać im jednem słowem uniwersyteckie wykształcenie. Tak, jakkolwiek dziwnem wyda się to naszym czytelnikom i w naszych stosunkach — wykształcenie uniwersyteckie, rozumiejąc pod tem podanie słuchaczom w postaci ściśle naukowej głównych zasad i podstaw danej gałęzi wiedzy i wyrobienie w nich owej specjalnej dyscypliny naukowej, potrzebnej do dalszego samodzielnego kształcenia się i badania. Jeżeli uniwersytety, na utrzymanie których składa się cały naród, chcą być prawdziwie narodowymi rozsadnikami wiedzy, to powinny koniecznie zbliżyć się do mas, usunąć te zapory, które dotychczas dzielą kastę uczonych od całego narodu.

Cel ten nie da się osiągnąć jedynie za pomocą jaknajszerszego otwarcia podwoi uniwersytetu dla wszystkich, którzy chcieliby oddać się studjom wyższym. Trzeba koniecznie obmyśleć sposoby, któreby pozwoliły studja te prowadzić ludziom, zajętym codzienną pracą chlebodajną.

Anglja, jak to ujrzymy niżej, zbliża się ku temu celowi za pomocą swego systemu *University extension*, a osiągnięte już rezultaty tem większy muszą budzić podziw, że nigdzie uniwersytety nie miały tak kastowego charakteru, nie były tak zazdrosne o swe przywileje i zamknięte dla masy narodu, jak właśnie w Wielkiej Brytanji.

Dwa główne uniwersytety Anglji, w Oxford i Cambridge, powstały w 13-tym wieku. Niezależne od władzy państwowej, nadzwyczaj bogato uposażone, dostępne były one do niedawna jeszcze tylko dla ludzi bogatych. Ażeby słuchać wykładów, trzeba było (do r. 1874) mieszkać w jednym z licznych internatów (kolegiów) uniwersyteckich, co było połączone z wielkim kosztem. Nieliczne stypendja miały prawie wyłącznie familijny charakter. Do r. 1854 imatrykulacja w obu uniwersytetach uwarunkowana była przynależnością do panującego, anglikańskiego kościoła. Warunek ten utrzymał się nawet do r. 1871. dla kandydatów do stopni i urzędów uniwersyteckich.

Około r. 1850 zebrała się w Oxfordzie komisja, debatująca nad kwestją reformy wykształcenia uniwersyteckiego*. Z przebiegu jej obrad jasno widać, że już wówczas w umysłach członków tej komisji dojrzała myśl jak najszerszego otwarcia podwoi uniwersyteckich dla biedniejszych studentów i — co ważniejsza — taka reforma studjów, któraby naukę uniwersytecką

* *University extension, by H. J. Mackinder and M. E. Sadler. London 1891.*

uczyniła przystępną i dla ludzi, zajętych całodzienną pracą na utrzymanie.

»Spodziewam się, iż Uniwersytety otworzą swe podwoje dla biednych« — powiada lapidarnie Osborne Gordon, jeden z członków tej komisji. »Idealny narodowy uniwersytet — powiada inny członek, Mark Pattison — powinien być współrozciągły *(coextensive)* z narodem; ma on być powszechnem źródłem wyższego nauczania w całym kraju«. »Uniwersytet — powiada tenże Pattison dalej — powinien silnie rozkrzewić się w niższych warstwach społeczeństwa, wydobyć stamtąd nowe pierwiastki życia i potęgi zarówno umysłowej, jak i moralnej«.

Myśli te nie przyoblekły się atoli podczas dyskusji w komisji w kształty konkretne. Wśród licznych, praktycznej już natury wniosków komisji, nie znajdujemy żadnego, któryby szedł tak daleko, jak wyżej wyłuszczone pragnienie niektórych jej członków.

Ale ruch, raz rozbudzony w tym kierunku, już nie ustaje. W r. 1850 Sewell, profesor uniwersytetu Oxfordzkiego, ogłasza list otwarty do wice-kanclerza tegoż uniwersytetu, pisząc, między innemi, co następuje: »Wprawdzie niemożliwą jest rzeczą sprowadzić do uniwersytetu masy ludności, żądne nauki, ale czyby nie można uniwerstytetu sprowadzić do mas?«.

Sewell odpowiada na to pytanie twierdząco, żądając na początek, by uniwersytet oxfordzki utworzył luźnę katedry, z początku po wielkich centrach przemysłowych, w Manchester i Birmingham, przechodząc następnie do miast innych. Za Oxfordem poszedłby niezawodnie — zdaniem autora — i uniwersytet w Cambridge. Plan ten wprowadzony w życie, pozwoliłby rozszerzyć wykształcenie uniwersyteckie do ostatecznych granic, nie wymagając równocześnie znaczniejszych kosztów, »a uniwersytety — pisze Sewell — urzeczywistniając podobny projekt, staną się tem, czem być powinny: wielkiemi centrami i źródłem oświaty całego kraju i zjednają sobie sympatję i miłość całego narodu...«.

Przytoczyliśmy ostatni ustęp w dosłownym przekładzie, chcąc dokładnie scharakteryzować stanowisko, jakie w sprawie oświaty ludowej zajmuje profesor angielski. O ileż ono odbiega od zachowania się tych patentowanych przedstawicieli wiedzy w innych krajach, n. p. u nas, gdzie z pojęciem profesora uniwersytetu łączy się zazwyczaj wyobrażenie istoty oderwanej od życia, zasuszonej jakiejś mumji, z trójnogą patrzącej na świat i potrzeby swego narodu i zstępującej zeń chyba po to tylko, aby iść w służbę reakcyjnych tendencji.

C. d. n.

Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Kwiecień 1895.

Artykuł dra Łozińskiego p. t. »Tłum«, o którym wspomnieliśmy w poprzednim »Przeglądzie« został ukończony w kwietniowym zeszycie »Biblioteki«. Stanowisko autora, coraz częściej występującego w ostatnich czasach ze studjami socjologiczno-prawnemi, charakteryzuje dobrze jeden z końcowych ustępów jego artykułu: »Chyba marzyciel — pisze p. Ł. — uważający stan idealny za możliwy do osiągnięcia, mógłby przypuścić, że arena życia społecznego tak kiedyś zostanie oczyszczona, iż nie będzie na niej wcale śmiecia, które za pierwszym podmuchem zbija się w słupy (?!) i zamąca atmosferę. Zawsze tłum, jeżeli nie dziki, to jako »kupa swawolna«, będzie regułą, a natomiast wyjątkiem tylko tłum sformowany i w działaniu pobudzany siłą podniosłej ekstazy, przejęty poświęceniem, jednem słowem: tłum z wyższą ideą«. Naturalnie żąda autor »akcji zapobiegawczej«. Przecież »tłum — jak powiada w innem miejscu p. Ł. — ma charakter dziecinny lub kobiecy, wpada z łatwością z jednej ostateczności w drugą, więc także i w zapamiętałość, w tchórzostwo«. A zatem »energiczne wystąpienie organu prawa, w porę i ze środkami do danej sytuacji dobrze zastosowanymi, nigdy nie zawiedzie oczekiwań wobec tłumu». Chyba moskiewskie »organa prawne« nie potrzebują wskazówek, jak występować »ze środkami do danej sytuacji dobrze zastosowanymi«; mogłaby również, jak sądzimy, i »Biblioteka« dobrze obejść się bez podobnych elukubracji socjologiczno-prawnych.

M. Zdziechowski umieścił w omawianym zeszycie artykuł o Malczeskim, nic prawie nie dorzucając do tego, co dotychczas wiedzieliśmy o znakomitym poecie, którego żywot był tak krótki, a prace nieliczne.

»Kilka nieznanych listów Szymona Szymonowicza» podał J. Przyborowski.

P.

PRO MEMORIA.

28. maja 1793. Gdańsk zajęty został przez Prusy.

28. maja 1863. Wincenty Koziełł zginął w bitwie pod Władyką.

29. maja 1861. Zmarł w Paryżu Joachim Lelewel.

1 czerwca 1809. Przekupki warszawskie rozbroiły 50 żołnierzy austrjackich, rozstawionych na wartach i przyprowadziły w środek miasta z wielką wrzawą. Austrjacy, opuszczając pośpiesznie Warszawę wskutek działań ks. Józefa Poniatowskiego w Galicji, zapomnieli zabrać ze sobą owych nieszczęsnych wojaków, których spotkał tak wielki despekt...

2. czerwca 1863. Ks. Iszora rozstrzelany został na Litwie za odczytanie ludowi manifestu Rządu Narodowego.

3. czerwca 1848. Nastapiło w Pradze czeskiej uroczyste otwarcie Zjazdu słowiańskiego, w którym pomiędzy innymi wybitnymi Polakami, wzięli udział Karol Libelt i Jędrzej Moraczewski.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.